

Przygody Włocha

w misji do Addis-Abeby

21 kwietnia 1906 roku, dosiadłszy rankiem w Asmarze mulara, z którego sądzono mi było potem prawie nie zlać w przeciagu kilku miesięcznej podróży, skierowałem się ku Addis-Abebie, stolicy cesarstwa abisyńskiego. Miałem w eskorcie kompanię askarisów, szwadron tubylczej kawalerji i dwunastu konnych karabinierów włoskich pod dowództwem porucznika Cantu. Towarzyszyli mi: oficer generalnego sztabu Francesco Coco, topograf, porucznik Elia i lekarz wojskowy, dr. Passamonti. Kierownictwo podróży powierzone majorowi Floccardi;

Karawana nasza, po paru tygodniach od wyjazdu, uzyskała wielu przygodnych towarzyszy. Wzdłuż szlaku, którym ciągnęliśmy, Mene lik nakazał wszystkim władcom lokalnym (nawet takim potężnym, jak ras Micael, zięć Mene-lik i Oile, brat cesarzowej) przyjąć ze szczególnymi honorami przedstawiciela króla włoskiego. Poczynając zaś od pasa najbliższego go Erytrei, rozkazał dwóm naczelnikom północnego Tigre, dedziakowi Garasellace i dedziakowi Abrahama Urea wraz z ich uzbrojonymi ludźmi konwojować mnie w ciągu całej przeprawy przez okolice jeszcze tak mało komu znane.

Podobne wyprawy przysparzają zawsze w tych stronach moc osób po drodze. Nie więc dziwnego, że pewnego pięknego poranka plemię Azebu - Galla ujrzało wyłaniającą się z pachnących tuja i jałowcem lasów Enda - Moeni i ścigającą w dolinę Maci - Cio siedmio czy ośmiotysięczną różnorodną gromadę ludzi różnych ras i plemion. Ale nie należy sprzedawać wypadków.

Koniec kwietnia zastał nas jeszcze na początku drogi. Dwa popasy za rzeką Mareb, u granicy włoskiej kolonii z Etiopją, i stanęliśmy w Adi - Abuna, stolicy biskupstwa, rezydencji abuny Petrosa, czyli głowy kościoła koptyjskiego w tej miejscowości. Dotarliśmy tam pół żywi, zmęczeni, zbolali i z troską, czy aby się nie pochorujemy. Poprzedniego bowiem dnia zatrzymaliśmy się w Enda - Barian („dom niewolnika”), na skraju pustynnej, spalanej słońcem płaskiej okolicy. Dzień był duszny. Termometr wskazywał czterdzieści trzy stopnie Celsjusza. Pragnąc przyspieszyć wyjazd nazajutrz rano, zwinęliśmy namioty już popołud-

niu. Postanowiliśmy spać pod gołym niebem, nie obawiając się chłodu nocnego. Niestety! Już o zmierzchu niebo zawlekło się chmurami i nagle lunął ulewny deszcz, który nas rozgrzanych, spoconych i zaledwie okrytych ubraniami z lekkiego płótna, przemoczył do suchej nitki. Ulewa trwała krótko, ale nastąpił po niej lodowaty wichur. Termometr z 43 spadł od razu do 11 stopni!

DOSTOJNY ABUNA

Wdrapujemy się z całym orszakiem na stromą górę, na której szczyt widnieje kościół i dom abuny Petrosa, jednego z czterech biskupów, których dla Etiopji dostarcza (już wyświęconych) klasztor koptyjski w Kairze. Jurysdykcja abuny Petrosa rozciąga się nie tylko na całą prowincję, na Lasta i jakieś jeszcze inne terytoria, ale także i na tę część płaskowzgórza, graniczącą z Tigre, która należy do Włoch - wiem, że abuna Petros pragnie, aby jego władza była przez nas oficjalnie uznana, co dałoby mu prawo rozstrząsać się w Asmarze i tam zorganizować swą nową rezydencję. Przyjmuje mnie w ciasnym podwórku, zapchanym księżmi koptyjskimi i jakimiś przywódcami nieznanego mi pochodzenia. — Wszyscy stoja, on tylko siedzi w fotelu ze złoczonej trzciny, pokrytym brązowym aksamitem w wypukłe złote hafty. Inny fotel, także złoty, stoi obok tamtego. Przeznaczony jest dla mnie.

Abuna jest człowiekiem tegim, wysokiego wzrostu, mającym już pewnie pod pięćdziesiątkę. Oczy czarne, ruchliwe, broda jak smoła, wąsy siwiejące. Nie byłoby zbyt przyjemnie znaleźć się z nim sam na sam na pustynnych drogach. Ma na sobie szeroki płaszcz czarny, aksamitny, z pod którego widać długą aż do stóp szarą jedwabną koszulę. Na głowie czapka czarna, haftowana złotem, a na niej zarzucony jakiś czarny welon.

Podnosi się z wielką powagą i wyciąga z wewnętrznej kieszeni swego stroju srebrny pozłacany krzyż abisyński. Trzymając go oburącz, zbliża się ku mnie. Wyciąga krzyż do ucałowania, a potem podaje mi rękę, którą ścisnę po europejsku, poczem trzy czy cztery razy powtarzamy formułę, że jesteśmy niewymowni radzi z możliwości poznamienia się. —

Wreszcie, aby dać konkretny dowód mego zadowolenia (na co on czeka z najwyższym upragnieniem), ofiaruję mu dywan, kołdrę, zegarek na długim złotym łańcuchu i złoty krzyż. Abuna, o którym wiem, jak bardzo jest chciwy, udaje teraz wobec zgromadzonej publiki bezinteresownego. Obojętnym pozornie wzrokiem patrzy na moje dary i powierza wszystko sługom, aby mu odnieśli do mieszkania. Miałem błogą nadzieję, że ceremonia na tem się zakończy. Gdzietam! Musiałem, niestety, przejść w Adi-Abuna pierwszą ogniową próbę tego, co następnie było jednym szeregiem udręczeń w podróży. Biskup raczył zaprosić mnie na ucztę.

GOŚCINNE PRZYJĘCIE

Izba, do której weszliśmy, służy za sypialnię biskupa, za salon, za poczekalnię i za trybunał. Jest obszerna, ma może jakieś dziesięć czy dziesięć metrów w kwadracie. Mało światła, zaduch stęchły, urządzenie proste, ale niepozbawione powagi i okazałości. Łoże osłonięte białym muslinem, który coppersa mógł być białym może za dziecinnych lat abuny. Koldry zakryte kapą z brązowego aksamitu, lśniącego złotem od góry do dołu. To ma być mój „tron“ na czas uczy! A ponieważ istotnie jest wysoki, abuna podsadził mi, jako stołeczek pod nogi, ów sławetny swój fotel biskupi, który przywędrował za nim aż tutaj. Naprzeciw łóżka stoi wyscielana kanapa, obita perkalą w kwiaty. Abuna zasiada na niej z założonymi nogami po turecku. Między łóżkiem i kanapą stoi stół. Zaczyna się ucza. Warto przepisać menu w takim porządku, w jakim dania były podane: 1. Kawa; 2. Kurczę z cebulą; 3. Koźlecina duszona; 4. Lemoniada; 5. Flaczki kurze w sosie czosnkowym; 6. Koniak; 7. Jaja na twardo; 8. Wino chinowe; 9. Konserwa z ananasa. Trzeba było koniecznie wszystkiego skosztować, zagryzając nieosobliwym chlebem abisyńskim, zwanym tu „ambasia“.

Biskup jadł za czterech, co mu nie przeszkadzało bynajmniej w wykonywaniu innych dodatkowych czynności, jako to drapania się w boscie stopy, gładzenia brody, zanurzania rąk w garnkach z jedzeniem, by wyszukiwać dla siebie i innych najlepsze kawałki.

Podczas jedzenia biskup zrzucił z siebie napuszczoną powagę i zachowywał się poufale. W braku serwety, rozłożyłem sobie na kolanach własną chustkę do nosa. Wziął ją, obtarł sobie nią czoło i oddał mi ją z całą prostotą.

TAJEMNICZA WAZA

W Dessie ras Micael przyjął mnie po królewsku i nawet zapowiedział przez tłumacza, że mając kucharza Greka, znającego doskonale tajemnicę włoskiej sztuki kulinarnej, zadysonował osobście na obiad makarony, abyśmy mogli się uraczyć. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, abyśmy mogli, tu, w sercu Abisynji, dostać uciążliwą porcję makaronów. Podczas gdy w olbrzymiej izbie (adderattasz) ras Micael siedział w kucki na ziemi, zaczyna obiad od „aleczczia“ i rwie zębami udko koźlecia, my na ławach, wokół stołu, zastawionego na naszą cześć, po prawej stronie dostojnika, czekamy z zaciekawieniem na zapowiedzianą ulubioną potrawę. Otóż nadechł. Służący dźwiga ostrożnie dygnając się wazę. Wazę?... Co u licha?... Im bliżej nas, charakterystyczne kształty wazy znikają. Brzeg ma płasko wygięty i tylko jedno ucho. Wielkie nieba! Toż to przecie nie waza, lecz... Gdy służący postawił ją na stole, ogarnęła nas rozpacz. Makarony pachniały tak zachęcająco — ale ta waza! Czyż podobna czerpać je z tego tak poufnego naczynia?

Zaparlo nam oddech. W milczeniu zamienialiśmy pytające spojrzenia, chcąc zrozumieć, skąd wzięła się to naczynie, do czego i komu służyło przedtem, zanim znalazło się przed nami na stole, pełne wybornych makaronów, po które jednak żaden z nas nie odważyłby się sięgnąć. Opanowuję zdumienie i przez tłumacza pytam rasę o pochodzenie naczynia, a ten w odpowiedzi: „Skąd?... Z Addis-Abeby, gdzie udałem się umyć, aby je wybrać i kupić w sklepie Mohameda Ali“.

Wyjaśnienie to było kategoryczne i koło wszelkie wątpliwości. Spadł nam wielki ciężar z serca. Odbito się to takim rozjaśnieniem naszych twarzy, że aż zwróciło uwagę dostojnego gospodarza, który zapytał: „Co się stało? Czyż takie wazy nie są w użyciu we Włoszech?“

Udał się, że nie słyszymy pytania.



Ludzie na ulicy

Zdawałoby się, że niema łatwiejszego sportu, jak zwykłe chodzenie po ulicach. Zważywszy jednak pewne nawyki przechodniów oraz różne nieprzewidziane niebezpieczeństwa okazuje się, że poruszanie się przy pomocy pary obutych nóg i laski jest sztuką równie trudną, jak wszystko na świecie.

Jedną z niemiłych przeszkód w pieszej lokomocji jest coś, co można nazwać „tańcem wbrew woli“.

Nawprost mnie śpieszy pan i dostrzegam w jego oczach wahanie, z której strony ma mnie wyminąć. Wykonuję skok w prawo, pan czyni to samo, i następuje niemiłe zetknięcie nosami. Rozpaczliwie rzucam się w lewo — pan także skacze w lewo i zderzamy się znowu, przyczem panu spadają binokle, a ja czuję swąd spalenizny w zetknięciu mojej brody z cygarem, które pan trzyma w ustach. Nie mogąc się wyminąć, poruszamy się rytmicznie w prawo i w lewo i wreszcie bezwiednie zaczynamy tańczyć karioke. Po skończonym tańcu przepraszamy się wzajemnie i lekko zawstyżeni usługujemy się znowu wyminąć z tym samym skutkiem.

Do nieprzewidzianych niebezpieczeństw zalicza się również człowiek z deską na ramieniu, który zaciekawiony nagle barwnym krawatem w witrynie, zwraca się ku niej, ścinając przechodniom z głów kapelusze deska, niby gilotyną. Kiedyś „człowiek z deską“ wyłonił się nagle z bra-

my i znokautował uderzeniem w szczękę damę, za którą siedział oczarowany jej wdziękiem.

Kiedy się śpieszę, idąc wąskim chodnikiem, zawsze idzie przede mną trzymające się pod ręce liczne towarzystwo, które się wcale nie śpieszy. Znam je stylu z widzenia, gdyż nigdy nie udało mi się go wyminąć.

Czasami, gdy stoję na skraju chodnika i rozmarzony spoglądam w tarczę księżycą na miejscu, które zajmuję wjeżdża manipulujące nieudolnie auto, zmuszając mnie do panicznej ucieczki.

Przystawanie na chodniku jest zresztą wogóle niewskazane, gdyż w ciągu kilku minut, dziesięciu panów poczęstuje się ogniem z mego papierosa, a pięciu handlarzy z których każdy, obejrzy mnie od stóp do głowy, oszacuje moje buty na złotówkę, spodnie na 2 złote, marynarkę na 3 złote a za kapelusz ofiaruje pięćdziesiąt groszy. Razem 6 zł. 50 gr.

Gdy wracam z przechadzki, mam ubłoczone spodnie na wysokości kolana. To wykwinł pannoświe noszący parasole i laski, trzymają je tak ażeby móc wycierać ubłoczone końce o spodnie przechodniów.

Dodajmy do tego kilkunastu znajomych, którzy przytzymają za rękaw na jezdni i zapytują „co słychać?“ i pomnożmy przez kilkunastu sprzedawców naryczków, którzy asystują na ulicy zbyt często i podzielnym przez setkę wetkniętą w rękę ulotek na temat „taniej garkuchni“ lub też „hinduskiego wróżby“, który „naprostowuje błędne drogi życiowe“ a będziemy mieli wielki trudnej sztuki chodzenia po warszawskich ulicach.

Jur.

22 milionerów Chce lecieć do stratosfery z profesorem Piccardem

Profesor Piccard, pionier lotów stratosferycznych, zamieszcza w pismach amerykańskich ogłoszenie treści następującej:

„Poszukuję partnera do mego najbliższego lotu w stratosferę,

który mógłby zapłacić za to 80.000 dolarów“.

Wbrew pesymistycznym przewidywaniom, Piccard otrzymał 22 poważne oferty, nie licząc wiele niepoważnych. Cóż to za ludzie, którzy chcą ryzykować życie za 80.000 dolarów?

Na ich czele stoi dwóch japońskich milionerów, którzy ofiarowali po 100.000 dolarów, pod warunkiem jednak, że lot odbędzie się w Japonji. Zgłosiła się 50-letnia wdówka, która stawia jeden warunek: w razie nieszczęśliwego wypadku, musi się jej postawić pomnik. Pewna południowo - amerykańska żona fabrykanta zaklika Piccarda, żeby tylko ją zabrał, gdyż chce mieć w swoim nudnym, cikliwym, pełnym wygód i rozkoszy życiu, jeden interesujący dzień.

Z innych kandydatek należy wymienić szwedzką lotniczkę, właścicielkę fabryki rowerów w Ameryce, która oprócz tego komponuje i koniecznie chce mieć tego rodzaju przeżycia dla napisania „opery stratosferycznej“. Inna bogata dama z Delhi zgadza się na współudział w podróży pod warunkiem, że nikt się o tem nie dowie.

Niestety, żadna z kobiet nie ma szans, znakomity Belg oświadczył bowiem, że z kobietą za żadną cenę nie poleci, a to tembardziej, że dosyć zgłosiło się panów. Najstarszy z nich ma lat 71, najmłodszy 14.

Piccard będzie miał z czego wybierać, a najważniejsze, będzie miał za co lecieć.

(D. c. n.)

Francois Mauriac

48)

CZARNE ANIOŁY

Z upoważnienia autora przełożyła Helena Hellerówna

Powieść

— Nie stój-że tak na deszczu. No tak, wiem wszystko. Chęć, żebym się z tobą ożenił i wyniósł się... Niepotrzebnie wysyłałaś się na te wszystkie intryki... Niemądra jesteś, gdyż i tak zamierzalem się z tobą ożenić. Nie gniewaj się, lecz muszę ci powiedzieć, że nie powinnaś była mieszać do naszych spraw starego Desbats'a.

Alina odzyskała równowagę. Wzięła go pod ramię, ażeby mogli iść pod jednym parasolem.

Wmówili mu to kłamstwo — myślała. — Zapewne uważała, że tak będzie lepiej... Niezły pomysł...

— Ach wiesz, mój kochany, nie palę się już do małżeństwa. Muszę się dopiero zastanowić — rzekła.

Gradrę westchnął głęboko. Był uratowany, a ona zgubiona. Tak, jak to uczynił w dniu swego przyjazdu, oddał bilet Aliny kolejarzowi i wyszedł z peronu, mijając dworzec.

— Dlaczego nie przyjechałaś samochodem, skoro powiadomiono cię o moim przybyciu? — zapytała nagle Alina. — Nie było powodu...

— Andrzej zabrał samochód i nie wrócił na czas. Na szczęście przyszło mu na myśl najprostsze wyjaśnienie.

— A to pech! — mruknęła Alina, która ucziupnęła się jego ramienia wykręcała nogi, brnąć przez kałuże.

— W niespełna dziesięć minut będziemy na miejscu — odparł. — Pójdziemy krótszą drogą.

Szli ścieżką pełną trocin i okry, wtłoczoną pomiędzy stopy desek i dochodzącą do krańców wsi. Gradrę, zamiast skręcić na gościniec, wszedł na ścieżkę, idącą wzdłuż pierwszego domu w Liogeats i zapuścił się w las. To krótsza droga — zauważył nieostrożnie.

Mógł nic nie mówić, gdyż jego towarzysząca patrzyła tylko na nogi, starając się omijać kałuże i wyboje. Niepotrzebnie zwrócił jej uwagę, gdyż kazała mu zamknąć parasol i zaczęła się niepokoić, że idą lasem zdala od siedzib ludzkich.

— Dojdziemy do alei wodącej do pałacu — rzekł Gabriel — Podczas takiej niepogody niema jak piaszkowce. Wchłaniają wodę. Możesz sobie wyobrazić, co się dzieje na drodze! Morze błota... Tu nie zamoczysz sobie nóg.

— Właśnie, że zamoczyłam! — zaprzeczyła zdyszana Alina — Te przekłete paprocie wlewają człowiekowi wodę do bucików, jakby łyżkami! Znowu pada!

— Nie, to tylko wicher strąca wodę z drzew.

Silny wiatr siekł ich twarze deszczem.

— Boże! Nie mam już sił — jęknęła Alina — Suknia mi się przyklepiła do ciała. Czy jesteś pewny, że idziemy właściwą drogą? Daleko jeszcze?

Zapewne nie słyszał, gdyż nic nie odpowiedział. Szli z trudem piaszczystą drożyną, potykając się o pnie, które nie sposób było ominąć.

— Jak tu ciemno, Gabrielu! Czy aby nie zabłądziłeś? Czemu nie odpowiadasz?

Usiłowała wysunąć rękę, którą przyciskała do swego ramienia, jakby szedł z kochanką. Nie, pewnością nie zabłądził, gdyż szedł szybko jak człowiek, który nie wie dokąd dąży, a ona dreptała obok niego, jak stare, zdysznane zwierzę.

Nagle zatrzymała się z wykrzywionymi obcasami, zarytymi w piasek i objawszy lewą ręką pień drzewa, szepnęła:

— Nie, nie pójdę dalej.

I wśród jęku wichru i plusku deszczu dał się słyszeć jej ochryply głos:

— Na pomoc!

W odległości pięćdziesięciu metrów nikt nie zdołałby jej usłyszeć.

— Oszalałaś, moje biedactwo — powiedział najspokojniej Gabriel — Jesteśmy na miejscu. Czy nie widzisz, że sosny już tam się kończą? Nie widzisz skrawka nieba? To białe, co widać — to dom.

Nabrała tchu, uciepiona drzewa i wytrzeszczała oczy. Ależ tak! To prawda! Las zdawał się kończyć. Sosny skończyły się tam, gdzie zapewne rozpoczął się ogród... Tak, widać było biały mur. Gabriel miał słusznego. Odetchnęła.

— Widzisz, jak mnie przestraszyłeś, łajdaku! — szepnęła z czułością. — Wiedziałam, że nie zapomnieliś pokoju przy ulicy Lambert, Meriadeck... Pamiętasz, że pielęgnowałam cię jak syna? Ile ja wydałam na ciebie! Całe pieniądze mi na to poszły... Kochaliśmy się wtedy, prawda Gabrielu?

Szła już teraz z ufnością, wyprzedzając Gradrę'a. Pragnęła jak najprędzej otrząsnąć się z koszmaru, lecz nagle zatrzymała się:

— To nie ściana — jęknęła — Nie widzę dachu, ani okien. Dokąd mnie prowadzisz, kochanie? Gdzie jesteśmy?

— U wejścia do parku. W dziecięctwie nazywaliśmy to miejsce „skalą“. Ileż razy tarzaliśmy się tutaj z małmi Du Buch.

— Jakto „tarzaliśmy się“, Gabrielu?

— Spójrz, nie bój się.

Znaleźli się na brzegu urwiska, wznoszącego się nad ciemną czeluścią. Pomimo ciemności piasek był taki biały, że Alina widziała przed sobą, jakby miniaturowe góry i kraterzy.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony: 666-68 (redaktor naczelny), 666-68 (sekretariat), 666-99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedzieli i świąt w godz. 12-13.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefony: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgowność i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59, Włocławek, Cyganki 24, tel. 136.
PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-ej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., na reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 150 zł., opisy specjalne — 3 zł., lekarzkie — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Dobrze po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych“ liczą się za oddzielne wyrazy a „tłusty druk“ — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.) Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.
Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.